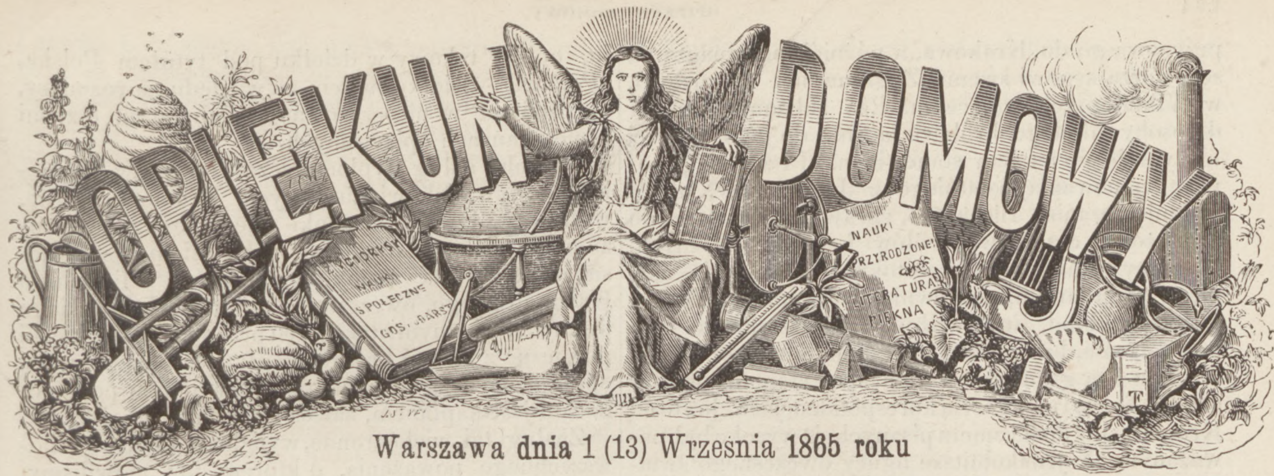
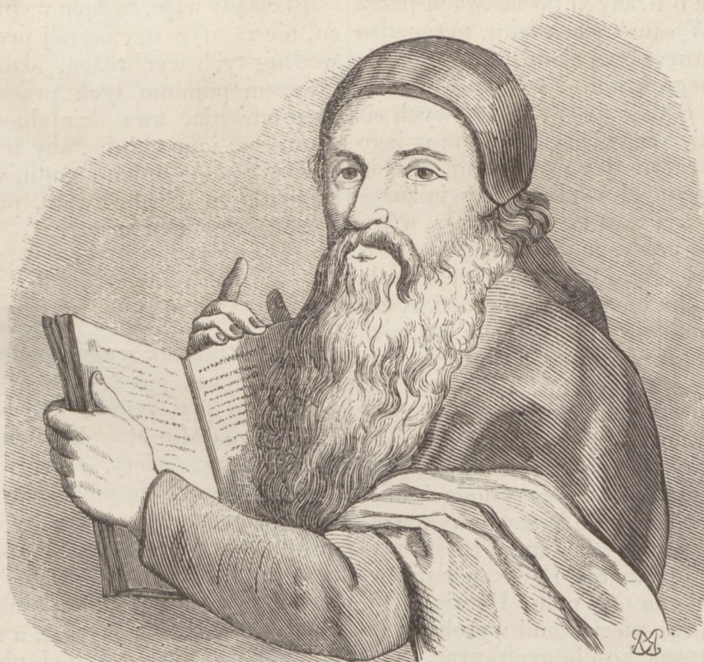


Warszawa dnia 1 (13) Września 1865 roku

Nr 37. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

MARCIN KROMER.

Małe miasteczko Biecz pod Karpatami, było siedliskiem rodu Kromerów i miejscem urodzenia w roku 1512 Marcina, którego życiorys dajemy. W czasach Jagiellońskich, mieszczaństwo, oprócz kilku grodów większych, już pozbawione zostało politycznego znaczenia, cieszyło się jednak znaczną zamożnością, dozwalającą jednostkom drogą ukształcenia stawać na równi z najoświeceńszemi w narodzie, a tem samem usuwać dla siebie zawady do wykonywania praw obywatela, we wszystkich kierunkach. Dzielnym zaś i skutecznym czynnikiem ułatwień do nabycia wiedzy, była magnaterja, nie skąpiąca swych zasobów, dla indywidualności, rokujących pożytek między uboższemi, bez względu do jakiéj klassy społeczeństwa należały.



Marcin Kromer.—(Rysował W. Gerson—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

Warunki ustroju narodowego z owych czasów, odbijają się w wychowaniu i ukształceniu Kromera. Ojciec tegoż, chociaż mieszkaniec mało znanego grodu, łoży koszta na jego edukacją w miejscowéj szkole, a następnie wyprawia go do Akademji Krakowskiéj. W ciągu nauki w téj wszechnicy, zwrócił na siebie pracą i zdolnością uwagę nauczycieli, a nawet dygnitarzy kraju. Jan Chojeński, podówczas biskup Przemyślski i sekretarz Koronny, osobiście przeświadczywszy się o talentach młodzieńca, po uzyskaniu przezeń stopnia Akademickiego bakałarza, a późniéj magistra, wezwał go do pracy w kancelarji królewskiéj, będącéj pod jego zarządem. Po kilku zaś latach, nabywszy przekonania, iż zdolność młodego podwładnego, zasługuje na wyższe wyrobienie, własnym kosztem wysłał go dla dalszéj nauki do Włoch. W czasie pobytu Kromera we Włoszech, umiera Chojeński. Natychmiast wszelako po jego śmierci, inni magnaci: Górka, Kujawski i Gamrat krakowski, biskupi, zastępują Chojeńskiego. Kromer pod skrzydłem opieki nowych dobroczyńców, bez troski o fundusze, kończy kurs prawa i teologji w Bononji i Rzymie, w jakiem to ostatniem mieście, pozyskuje pierwsze święcenie kapłańskie. Za powrotem do kraju, znajdujemy go na stanowisku sekretarza przy Gamracie.

Gdybyśmy skalą dzisiejszych pojęć, chcieli mierzyć dawniejsze zwyczaje i urządzenia, sądzić byśmy mogli, iż Kromer, z przyjęciem prywatnych obowiązków, zamknął swą działalność w ramy szczupłe, bo obejmujące życie senatora. Nie zapominajmy, że ówczesny senator, był uczestnikiem najważniejszych spraw państwa, że kancelarje i dwory ich, stawały się polem wyrobienia dla ludzi późniéj dzierżących w swéj dłoni, losy całego narodu. Jakoż w tym podrzędnem stanowisku, siłą zasług, pozyskuje różne duchowne prelatury, dostarczające mu środków do pracy naukowéj i odznaczenia się w życiu publicznem. Opinja o jego wiedzy i zdolności, tysiącami ust powtarzana, doszła do wiadomości ówczesnego monarchy Zygmunta I-go, który

przyzywa go do Krakowa, a później przeznacza na sekretarza synowi swemu Zygmuntowi Augustowi, w Wilnie przebywającemu. Raz zbliżony Kromer do osoby młodego królewicza, już do jego śmierci utrzymuje się na tem stanowisku. Przez ciąg bowiem panowania ostatniego z Jagiellonów, ubogi syn mieszczanina Bieckiego, sprawuje poselstwa do Papieżów, cesarzów, królów i książąt różnych. Towarzyszami jego, są częstokroć członkowie najpierwszych familji, pokrewni nawet królom polskim, jak naprzykład, Radziwiłłowie. Mieszczańskie jego pochodzenie, bynajmniéj nie odejmuje mu szacunku w kraju i za granicą; owszem spostrzegamy w znacznych liczbą i mnogością korespondencjach, już to od Kromera, już do Kromera pisanych, iż wysoko był poważanym. Najznakomitsze figury ówczesnego świata politycznego i naukowego, serdecznie go traktują.

Zapewne znaczenie w téj epoce Polski, znakomicie się do tego przyczyniało; niezaprzeczenie jednak zacność i uczoność Kromera, przedewszystkiem wpływała na pozyskanie tego powszechnego szacunku. W r. 1548, sprawując poselstwo w Rzymie, zapytany przez najwyższego kapłana katolickiego kościoła, czy nie ma go o co prosić, bez wahania odpowiedział. „Ojcze Święty, z króla mego respektu, mam dosyć wszystkiego.” Rzadka to była uczciwość i poszanowanie osobistéj godności, ze względu na społeczeństwo tamtoczesne, goniące powszechnie, za łatwo nabyć się dającemi dochodami, a które za pośrednictwem Rzymu przedewszystkiem chwytano.

Wspomnieliśmy już o licznych poselstwach przez Kromera odbytych. W saméj sile wieku, przepędza on znaczną część życia na obcéj ziemi, służąc gorliwie interesom rodzinnego kraju. Zawodowi jednak dyplomatycznemu nie oddaje wszystkich swych sił i czasu. Miłość nauki, objawiająca się już w jego młodości, zrosła się z całym jego żywotem. Każdą więc chwilę wolną chwyta skwapliwie, by ją zużytecznić dla dobra nauki. Praca tyle wytrwała, a będąca wszędzie i po wsze czasy, najdzielniejszym czynnikiem pozyskania wziętości i szacunku, zepewniła je w naturalnym porządku rzeczy i Kromerowi. A zapewniła szybciéj i zupełniéj w owéj epoce u nas, niźli by to gdzieindziéj mogło nastąpić, z powodu ówczesnych na ziemi naszéj stosunków. W czasie bowiem szeroko rozwiniętego czynnego życia w Polsce, a wskutek tego zajmowania się żywo wszystkich obywateli dobrem ogólnem, wiersze kształtnie złożone, a tem więcéj mowy po sejmikach czy synodach miewane, lub broszury traktujące o kwestjach żywotnych; łatwo kraj zapoznawały z ludźmi, głębszą myślą zalecającemi się. Widzimy też, iż Kromer pierwsze kroki stawia właśnie na tem polu. Poezja łacińska, mowy i broszury, są pierwszemi wyrobami jego umysłu. Od tych wszelako ulotnych prac, przechodzi wkrótce do ważniejszéj, mającéj mu zapewnić do dziś istniejące uznanie. Historja narodu, którego się urodził obywatelem, stała się przedmiotem owéj poważniejszéj pracy. Pięć jéj wydań jeszcze za życia autora dopełnionych, dowodzą wymownie, o ile odpowiadała ówczesnym potrzebom i wyobrażeniom. A chociaż jéj sława i znaczenie, zbladły w obec ogólnego postępu nauki dziejowéj, pozostaje nam zawsze jako cenny ślad dróg, którémi kroczy człowiek do uzyskania coraz wyższych planów, na polu zarówno umysłowem jak i społecznem. W znacznie już późniejszym czasie, ożywiony miłością kraju, opisał takowy w dziełku pod tytułem Polska, (Polonia)—dziełku małem ze względu na rozmiary, ale obfitem w nieoszacowane wiadomości, o ziemi i mieszkańcach opisywanych.

Na polu usług dyplomatycznych i pracy literackiéj, upływa jak widzimy życie Kromera prawie, wyłącznie. Dwa te kierunki zajęcia, ostrzą jego rozum tak, iż wznosi się po nad poziom współczesnych pojęć, jak mamy tego dowód, w listach do Karnkowskiego, ówczesnego biskupa Kujawskiego pisanych; w jednym z takowych przepowiadając klęski publiczne z elekcji królów wypłynąć mające, radzi obrać dziedzicznego monarchę, a w innym pomimo, iż sam jest kapłanem, zaleca tolerancję religijną.

Zasługi tak wielostronne, wyjednały dlań, obok powszechnego poważania, o którem już mówiliśmy, znakomite stanowisko w hierarchji społecznéj. Obejmuje bowiem najprzód w administracją biskupstwo Warmijskie, a następnie staje się jego najwyższym pasterzem; a tem samem senatorem Rzeczypospolitéj. Uprzednio już, najwyższy zaszczyt owoczesny, szlachectwo, pozyskał Kromer wraz z dwoma braćmi. Dzieci ludu, dla użyteczności jednego z nich, wezwano tym aktem do używania rozległych praw obywatela, mogącego myślić, mówić i działać, według swéj woli i rozumu. Pod koniec zaś życia, spotkał Kromera zaszczyt chlubniejszy od wszystkich dotychczasowych, bo podziękowanie w r. 1580 połączonych izb: poselskiéj i senatorskiéj, zostających pod przewodnictwem króla, za jego prace i położone zasługi.

Przesądy więc, będące wypływem wyobrażeń czasu, nie zatarły użytecznéj pracy w indiwidualności, według tych wyobrażeń, skazanéj na zapomnienie. Owszem pomimo tych przesądów, mógł Kromer rozpromieniać swą działalność, na pożytek kraju, a zarazem jego chlubę, aby w epoce wyłącznego posługiwania się ludźmi rodu, w państwie na wskroś przesiąkłem szlachectwem, prace i talent człowieka z ludu, uznanemi zostały. *Aleksander Adamowicz.*

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 35 i 36).

— Jezus Marja! — krzyknąłem mimowoli, i zrobiwszy krzyż święty, chwyciłem się gałęzi. Nie zadługo, odezwał się powtórnie taki śmiech przeraźliwy, a ja poznałem zaraz, że to pewnie Rusałki kogoś na śmierć łaskoczą, albo się może djabeł w staréj wierzbie rechocze. Więc jąłem mówić pacierz i uspokoiłem się wnet zupełnie, bom już i przedtem czasem te chichoty słyszał, a z pomocą pacierza nic mi się złego w skutek nich nie stało. Lecz pomimo spokoju, nie mogłem już zasnąć. Kilka razy zaśmiał się jeszcze ów zły duch po lesie, a potem już ucichło, i słyszałem tylko: *derk, derk!* jednostajne wołanie derkacza, więc pomyślałem sobie zaraz, że musi być moczar niedaleko, bo derkacze tylko po mokrych łąkach siadają.

Zwiesiwszy głowę, jąłem powoli drzemać i drzemałem dość długo, choć niewiele mię ta drzemka pokrzepiła, bo jako raz już przestraszony, nie mogłem przyjść do zupełnego spokoju.

Bardzo długą wydaje się noc, jeżeli człowiek nie śpi należycie; tak i ja kilkanaście razy otwierałem oczy

i zawsze było ciemno koło mnie i nademną. Wreszcie z sił prawie zupełnie opadły, uczepiłem się konara, jak mogłem najsilniéj i zasnąłem i spałem tak długo, dopóki mię chłodek poranny nie obudził. Świtało: na ciemne niebo wystąpiły z jednéj strony sine smugi, potem coraz jaśniejsze i jaśniejsze, aż nareszcie cały wschód zapłonął różową zorzą, i pierwsze promienie słońca bryznęły przez gałęzie. Budziło się ptastwo cichem świergotaniem, jak gdyby jeszcze przez sen mówiące, a ja zlazłem z dębu i ukląkłszy, odmawiałem modlitwę poranną.

Wilgotna para, napełniała las po deszczu wczorajszym; zimno więc było przejmujące. Jakoż, gdym już wstał z klęczków i oddawszy się w opiekę Panu Bogu ruszyłem prosto przed siebie, tom wybierał zawsze przejścia mniéj drzewem zarośnięte, żeby mię promienie słoneczne choć trochę ogrzać mogły. Głód zaczął doskwierać: wyjąłem resztę chleba i nie dzieląc go już zjadłem, mówiąc sobie w duszy: Niech się dzieje wola Boża! Pokrzepiony więc choć tą odrobiną pożywienia, szedłem żwawiéj naprzód z jakąś tak dobrą otuchą, że mi nawet do głowy już nie przychodziło, abym mógł nareszcie zginąć w téj przepastnéj puszczy.

Tymczasem las jak las, wszędzie jednaki i nigdzie ani śladu wyjścia. Jąłem się więc oglądać, czemby się tu pożywić można, gdyby już siły człowieka do reszty opadły. Nic nie było prócz grzybów; lecz żem się już wtedy znał na grzybach, zbierając je nieraz, dla méj gospodyni do suszenia, więc zbaczałem tu i owdzie i po jakiéj godzinie, napełniłem kobiałkę grzybami.

— Lecz jakże ja tu je spożyję?— pomyślałem sobie. Surowe nie sposób, choroby możnaby się nabawić, a gdzież je zgotować lub upiec, kiedy nie ma ognia, ani krzesiwka?

— Ot, jakoś to Pan Bóg pomoże! rzekło mi na to coś, jakby koło ucha.

Mogło już być koło południa, gdym usiadł zmęczony na zwalonéj od starości sośnie, i znowu mi się przykro zrobiło, a łzy ćmiły wejrzenie.

Pień sosny, na którym siedziałem, był do pół spróchniały i hubami jak w brody obrosły. Obok szumiał maleńki potoczek, po kamykach i piasku, a w wodzie jego przeglądały się sośniaki i paprocie. Lecz nie miałem już nawet ochoty, rozglądać się w koło siebie; spuściłem na dół głowę i patrzałem się w ziemię, a tak mi było wtedy przykro, że téj chwili, nigdy w życiu nie zapomnę. Przypomniała mi się matka nieboszczka i moje latka najmłodsze przypomniały mi się, i omało co żem się nie skarżył na Pana Boga, i żem tak biednym, tak nieszczęśliwym sierotą.

Nagle podniósłem głowę, spojrzałem na potoczek i w téj chwili niby głos matki nieboszczki szepnął mi do ucha:

— Idź za wodą, a zajdziesz!

Świeża nadzieja wstąpiła we mnie; przypomniałem sobie, jak mi to nieraz starzy gospodarze radzili, że jeżeli się kto w puszczy zabłąka, to najlepiéj aby szedł za brzegiem pierwszego lepszego potoczka, który go przecież w końcu gdzieś na zaludnione miejsce wyprowadzi. Nie namyślając się też wiele, usłuchałem tego niby głosu méj nieboszczki matki, i ruszyłem brzegiem wody.

Tak szedłem godzin kilka i zdawało mi się nieraz, że puszcza rzedzieje, lecz w rzeczy nie było jéj końca, zawsze cienista i nieprzejrzysta. Naraz, zaleciał mnie zapach dymu, a nie wiedziałem zkądby, gdyż wkoło prócz drzew nic widać nie było! Pomyślałem jednak, że dym zkądinąd iść nie może, tylko z komina jakiéj chaty, a żem też ze znużenia i głodu prawie już upadał, więc postanowiłem porzucić brzeg potoczka i pójść w stronę, zkąd mię dym dochodził, myśląc w duchu: Niech się co chce dzieje! Zwróciłem więc kroki ku owemu zapachowi dymnemu, i zaledwie kilkanaście kroków uszedłszy, ujrzałem białe obłoki dymu przez gałęzie sosen przedzierające się i zapach coraz wyraźniejszy. Poskoczyłem czemprędzéj naprzód, ostatnich sił dobywając, lecz jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał nagle zamiast chałupy, świerka ogromnego, który od dołu z jednéj strony, zupełnie już prawie wypalony, górą stał w ogniu. Gałęzie od strony wiatru, całkiem jeszcze zielone i zdrowe, z drugiéj strony poczerniały do szczętu; tu i owdzie błyskał płomień pomiędzy niemi, a z pnia do połowy czerwonego, odpadał na dół żar z trzaskiem, tak, że spora kupka rozpalonych węgli leżała pod drzewem. Domyśliwałem się, jakim też sposobem mógł się ów świerek zająć, czy od pioruna, czy też ręką ludzką podpalony, a zapatrzywszy się w żar u spodu leżący, zawołałem mimowoli:

— Żeby też to kilka ziemniaczków mój Boże!

I otóż w téj chwili, przypomniałem sobie, że mam grzybki w kobiałce; wyciągnąłem więc parę z nich i jąłem przypiekać na ogniu. Nie była to dobra i zdrowa strawa, ale cóż głodny człowiek nie może! Zjadłem jakoś kilka, i tyle choć żem uczuł coś ciepłego w żądku, i byłbym jadł jeszcze daléj, alem się bał jakiéj zjadliwéj choroby, bo to grzyby choćby najlepsze, nigdy nie są zdrowem pożywieniem.

Tymczasem, zaczęło się szarzeć; zmrok wieczorny zapadał na ziemię, a mnie ścisnęło coś za serce, boć to już druga noc o głodzie i chłodzie, czekała mnie samotnego w puszczy. Wiatr zawiał mocniejszy, świerk zaczął skrzypić i chwiać się, jako że już był dobrze spodem podpalony i nie mógł stać długo. Odskoczyłem kilka kroków z obawy, żeby mię żar nie obsypał; a gdy w téj chwili wiatr jeszcze silniéj zawiał, tak świerek przechylił się mocno w jednę stronę, a wkrótce z trzaskiem wielkim powalił się na ziemię, jako że drzewa inne nie stały w tem miejscu tak blizko, aby się mógł o nie oprzeć. Cała chmura iskier, buchnęła pod ciemniejące niebo, jak gdyby na pożegnanie drzewu, a płomień jeszcze żywszy ogarnął jego gałęzie.

Namyślałem się właśnie, co zrobić ze sobą: czy zostać nad ogniem przez noc całą, żeby było cieplćj, czy ruszyć w dalszą drogę. I gdym tak stał nie wiedząc co obrać, mimowoli spojrzałem na bujną trawę pod stopami. Zdawało mi się, że była ona w jednem miejscu, jakoby nogą przechodzącego człowieka przydeptaną, a gdym jął daléj śledzić, ujrzałem wyraźne ślady stóp ludzkich. Wykrzyknąłem z radości.

— Jużci ten człowiek, pomyślałem sobie, nie musiał tędy dawno przechodzić, kiedy jeszcze trawa jest przygnieciona!

I zacząłem hukać, ile mi tylko sił i głosu starczyło, lecz nadaremnie wyczekiwałem odpowiedzi: echo tylko rozbijało się pomiędzy drzewami; czasem odezwał się świergot ptaków, lecz ani śladu głosu ludzkiego.

— Ha, trudno iść za śladami, rzekłem sam do siebie zasmucony, bo już noc zapada, lecz wrócę te

kilkanaście kroków do potoku, i pójdę brzegiem jak poprzód.

Znać rada ta powstała we mnie z natchnienia samego Boga, bo gdym wrócił nad potoczek, ujrzałem też same ślady nad jego brzegiem, wzdłuż tak jakem iść zamierzył. Byłem więc już jak gdyby wyratowany, od przepadnięcia w puszczy, a przekonanie to podwoiło siły moje. Szedłem żwawo i wyszedłem niebawem na zrąb, gdzie pomimo pomroku, mogłem rozróżnić kawałek rozoranego gruntu, gdzie nikły owsik porastał.

— Chwała Ci Panie Boże! — zawołałem głośno, wybawiłeś mię! I zdjąwszy kapelusz, mówiłem pacierz wieczorny, i szedłem naprzód z pewnością wybawienia.

Tymczasem, zapadła noc na piękne; drzewa którem mógł jeszcze w dali rozróżnić, zaczęły się spływać w jedną czarną ścianę, cichość i ciemność zaległa na około, bo księżyc jeszcze nie zeszedł, lecz ja nie traciłem ducha, słysząc obok siebie szemranie potoczka, który mię prowadził. Nagle zabłysło mi jakieś światełko w dali pomiędzy drzewami; podwoiłem kroki, idę i zdało mi się, że się światełko zbliża ku mnie, tak coraz wyraźniejszem i jaśniejszem się stawało, aż nareszcie ujrzałem go tuż prawie przed sobą, a w takim kształcie, jak gdyby serduszko z płomienia. Nie chciałem wierzyć własnym oczom; podskoczyłem, biegnę, i oto stanąłem przed porządną bardzo zagrodą, z której przez serduszko wycięte w zapartej okiennicy, żywe biło światło. Zatrzymałem się; serce tłukło mi się w piersiach z radości i z obawy, i wątpiłem teraz, czy mnie w niej przyjmą i pożywią, czy to przypadkiem nie jacy źli ludzie w tym domu.

Lecz wnet zebrałem wszystką odwagę i zastukałem raz i drugi do drzwi.

— Kto tam?—odezwał się po chwilce głos gruby ze środka.

— Ja, biedny, zabłąkany sierota, odrzekłem, płaczącym prawie głosem. *(Dalszy ciąg nastąpi).*



(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie F. Sznage).

Kilkadziesiąt lat temu będzie, jak istniał w jednem miasteczku w Bretanji, pewien dom smutnego i opuszczonego pozoru, a przytem przez szczególniejsze jakieś osoby zamieszkały. Ogólnem zdaniem pomiędzy mieszkańcami tego miasteczka, utrzymującem się było to, że zły duch gospodarował sobie dowolnie w tym domu i dla tego humor jego gospodarza był tak ponury i niegościnny. Nigdy tu młodzież niezgromadzała się wieczorami, aby przy połyskującym ogniu, jak to jest w zwyczaju, pracować wspólnie; śpiewać razem wesołe piosenki; albo też prowadzić owe pogadanki przerywane wybuchami śmiechu, na które młodzież zdaje się, że jedyny przywiléj posiada. Nigdy też w nocy, zbłąkany lub spóźniony podróżny, nie zakołatał do drzwi tego domu, aby prosić o przytułek do rana. Wszyscy starannie omijali ten dom; znany na około daleko i wszędzie. Dom też ten tak posępny, nigdy nie przedstawiał weselszego widoku; ani bowiem słyszano w nim śpiewającego w klatce ptaka, ani też widziano wychodzące kiedy dziecko z bramy, ani zieleniejącéj się doniczki z kwiatami na oknie; przeciwnie zawsze było wszystko, cichem i nieruchomem tutaj, niby w wielkim starym grobie jakim.

W tym posępnym domu mieszkało dwoje ludzi: sam właściciel i jego gospodyni. Ta ostatnia stara, z pomarszczoną twarzą, przypominała czarownicę z postaci, tak jak to ją malują kiedy jedzie na Łysą-Górę, zasiadłszy na swéj łopacie. Nazywała się ona Gertruda, a mówiąc do kogo, śmiała się ciągle bardzo złowieszczym śmiechem, przypominającym nieco odgłosy sów, jakie one w nocy wydają. Miała ze sześćdziesiąt lat; spojrzenie jéj było bystre i szydercze, głos jéj gruby i chropowaty, ciało jakkolwiek chude, okazywało jednak jeszcze wiele siły. Gertruda zajmowała się staraniami około gospodarstwa, wychodziła na miasto tylko za kupnem sprawunków i potrzeb do życia, mówiła bardzo mało do ludzi, którzy też skwapliwie jéj unikali, obawiając się aby na nich nie zarzuciła jakich czarów, w które wówczas wierzono jeszcze. Opowiadano straszną historję o téj starej gospodyni. Pewien żołnierz, uwolniony

ze służby powróciwszy do tego miasteczka, jako do swego rodzinnego i słysząc wiele dziwnych rzeczy o Gertrudzie, ponieważ nauczył się śmiałości na wojnie, postanowił przekonać się, czy to wszystko jest prawdą, co o życiu téj starej rozpowiadano, jak nie mniéj o tym tajemniczym domu, który ona wraz ze starym panem zamieszkiwała.

Żołnierz więc ten poszedł śmiało do wskazanego domu i zapukał do drzwi, silnie kilka razy, ale bez skutku. Nagle roztworzyło się okno nadedrzwiami będące i w niem ukazała się postać staréj Gertrudy.

— Co ty tu chcesz?

— Pomówić trochę z wami dobra kobieto!

— O! kiedy chcesz, to możesz wejść, gdyż sama jestem w domu. Ale powiedzże mi, czy ty czasami niemasz strachu o utratę swéj duszy?

— Ani trochy.

— Jakto? więc ty nie lękasz się żebym cię oczarowała?

— Ani mi to w głowie kiedy postało.

Stara roztworzyla teraz drzwi i nowo-przybyły wszedł do wnętrza domu.

Gertruda zaprowadziła go do swego pokoju, gdzie zaledwie próg przekroczył, poczuł, że go cała śmiałość zuchwała opuszcza, ale też to co spostrzegł od razu, wcale nie mogło wpłynąć na pokrzepienie jego odwagi.

W pokoju, do którego weszli, dość czysto utrzymanym, wisiało na ścianie wiele obrazów w ramy oprawnych, i po największéj części portrety różnych osób przedstawiających, ale u których przez niewytłumaczone dziwactwo były głowy poucinane.

Na szafie stał ogromny wypchany kot i również z uciętą głową. Obok niego dwie gipsowe figury; równie głów nie miały. Na porozwieszanych obrazach nawet psy i konie miały potracone głowy.


Ukazała się postać Gertrudy. — (str. 297, szp. 1).
(Rysował Polkowski—wyciął J. Sosiński).

Wszystko w tem mieszkaniu zdawało się ulegać jednemu jakiemuś zniszczeniu, gdyż karafki nie miały zatyczek, parasol gałki u trzonka, a nawet szpilki któremi Gertruda opinała swój ubiór, były pozbawione łebków, równie jak i wszystkie inne przedmiota, które coś miały niby do głowy podobnego.

— Dla czegóż to tu tak wszystko poobcinane, zapytał się nieśmiało ex-żołnierz.

— Ha! ha! ha! zaśmiała się suchym głosem Gertruda, nieprawdaż? że to w ten sposób wszystko weseléj wygląda.

— Jakto? znajdujesz, że wszystko bez głowy jest weselszem?

— A naturalnie! jak to jest zabawne, ha! ha! ha!

— Jakto i zabawne nawet?

— Tak, a nadto bardzo sprawiedliwe!

— Ale to nie możliwe, zresztą nie mogę dobrze wszystkiego zrozumieć.

— Tak, ależ to rzeczy najprostsze w świecie i najłatwiejsze do pojęcia. Bo czyż nie prawda, że jeżeli głowa umyśli sobie coś złego, a ciało to wykona, tu się znowu Gertruda zaśmiała, to któż winien, przecie nie ciało, bo ono niewinne, a tylko głowa—sprawczyni złego, ha! ha! ha!

— To i cóż w takim razie, zapytał ex-żołnierz.

— Oto, że głowa jest tylko sama winna, i dla tego trzeba ją zawsze uciąć.

— Czy wy to tak naprawdę myślicie?

— A naturalnie, gdyż to jest nawet konieczną rzeczą, ha, ha, ha!

— Jezus Marja! Co wy też macie za dziwaczne zdanie!

— Nie ma tu nic dziwacznego, są to rzeczy najprostsze, a przytem najsławniejsze w świecie.

Tak dowodziła stara Gertruda, poczęła się ożywiać, ciało się jéj prostowało, niby rosło do góry, oczy zapalały i rzucały przeszywające spojrzenie na ex-żołnierza, który coraz więcéj tracił ducha, a nakoniec wybiegł jak oparzony z domu,

Można teraz sobie wyobrazić, jak poruszyła wszystkich w miasteczku, ta szczególniejsza teorja Gertrudy o głowie. Stare kumoszki poczęły zaraz rozpowiadać jako najniewątpliwsze rzeczy w świecie, że Gertruda w spółce żyje z diabłem, który ją nauczył robić fałszywe pieniądze. Młodsi mniéj zawsze przesądni, a często i więcéj wybaczający, mówili tylko, że stara Gertruda musiała kiedyś przecierpieć wiele nieszczęść, tak, że aż się jéj umysł od tego nieco pomięszał, ale w końcu postanowiono, że trzeba po cichu ostrzedz policję, aby miała Gertrudę i cały ten dom tajemniczy na oku, żeby się czasem coś złego z tego wszystkiego nie wywiązało dla bezpieczeństwa miasta.

Burmistrz czyli mer tego miasteczka był sobie człowiekiem bardzo poważnym, a przytem spokojniejszym o wiele od swych administrowanych. Usłyszawszy takie zeznania, że stara Gertruda coś niebezpiecznego knuje przeciw miastu, a może nawet przeciw całéj Francji, starał się naprzód rozognione umysły uśmierzyć, a kiedy to w części nastąpiło, zapytał się tych skarżących.

— Jak się nazywa ten obywatel, u którego w usługach pozostaje Gertruda?

— Nazywają go Piotrem.

— A znacie wy go dobrze?

— Nieznamy, gdyż on z nikim nieprzebywa, nadzwyczaj rzadko z domu wychodzi, i to chyba wtenczas, kiedy jakąś sekretną podróż odbywa, ale dokąd, to Bóg sam raczy wiedzić.

— Taka jego nieobecność w domu, zdarzaż się często?

— Nie, bardzo rzadko nawet.

— Czyż te jego wycieczki mają stale miejsce co pewien czas oznaczony?

— Wcale nie. Zauważono tylko, że przed każdem wyjściem odbiera wielki list zapieczętowany ogromną czerwoną pieczęcią. Wtedy bierze na siebie duży czarny płaszcz i odjeżdża konno, często zanosząc się od płaczu tak jak małe dziecko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRACA.

Praca nam hasłem, od wygnania z raju,
Uszczęśliwieniem—i zasługą w kraju,
W każdéj rodzinie, tylko *pracy* droga,
Z cnotą nas żeni i wiedzie do Boga;
Każdego życia jest bytu warunkiem,
I koniecznością, i pierwszym frasunkiem:
Każdego stanu i każdego czasu,
Człeka w siermiędze i w stroju z atłasu,
Czy on prawd Bożych głębiny docieka,
Czy ziemskich celów ze swéj pracy czeka.
Jedno i drugie, gdy uczciwe, prawe,
Wieńcem swych trudów wiedzie w Bożą nawę.

Nie mów człowiecze, że nikłą twa praca,
I najniklejszéj Pan Bog nie zatraca,
Gdy ona w sobie ma poczucia święte;
Choć nurt jéj wązkim, gdy źródło oschnięte,
Nurt jéj dopłynie do Pańskiéj winnicy.
— Czyje tu oko zna okomiar Boży?
Wszakże już wiemy, że w Jego źrenicy,
Nie każda wielkość, wielkością zostaje!
Wszak On tam z pyłków całe światy tworzy!
Wszak żołądź mała, a dębem się staje,
Drobiazg prac mrówczych swe mrowisko wznosi,
A zawsze *praca* dźwignią wszech spraw osi.

Ona kodeksem Bożym od Adama;
Pot pracy wieków, to ich dziejów rama,
To klucz co skarby ludzkości odmyka;
To węzeł wspólny i puścizna prawa;
Pole, gdzie ludzkość cała się spotyka,
W którem wyrobnik wespół z władcą stawa.
Miljony ludzi, od początku świata,
Każdy kropelkę potu swego składa,
A wszystkie ludzkość w jeden łańcuch splata:
Tak, w imię Boże—*praca* światem włada.

Śpieszmy się do niéj, Adamowe syny,
Nie traćmy drogiéj żywota godziny;
Anioł prac cichych, anioł ludzkiéj doli
Na każdym progu z pieczą Nieba stoi,
Każdych prac trudem, trudzi się i boli;
Zgłodniałéj matce nad dziecka kolebką,
Znękane siły do przyszłych prac dwoi,
Rozpaczającym ukazuje Niebo:
A tchnieniem świętem spokój ducha wraca,
I boleść głuchnie, gdy zakrząta praca.

Praca nam hasłem, od wygnania z raju,
Uszczęśliwieniem i zasługą w kraju,
Każdego życia ozdobą i wieńcem,
Pokrzepicielką sił ducha i ciała;
W pracy staruszek wygląda młodzieńcem,
Młody zacniejszym kiedy przez nią działa.

Kornel Malczewski.

SZKÓŁKA WIEJSKA.

W pięknym artykule zamieszczonym w Rodzinie pod napisem *Oświata ludu,* w liczbie czynników najgłówniéj wpływających na upowszechnienie oświaty, wymienione jest piśmiennictwo, czyli tak zwana literatura perjodyczna, do któréj obecnie i Opiekun Domowy należy.

Ażeby godnie odpowiedzieć tak wzniosłemu znaczeniu, wszystkie organa tego dzielnego czynnika, jednym ożywione duchem, wzajemnie wspierać się i uzupełniać powinny. Z téj wychodząc zasady, zamierzamy podawać wam tu od czasu do czasu pobieżne wiadomości, o wychodzących u nas dziełkach, które oświatę ludu w ścisłem znaczeniu mają na celu. Dzisiaj na tem polu głucho niestety, ale w niedalekiéj przeszłości znajdziemy utwory ducha, o których przypomnienie nie będzie dla nas bez pożytku.

Między mnóstwem innych tego rodzaju książek, wyszła przed laty dziewięciu: *Szkółka wiejska* przez Antoninę Machczyńską. W niéj w żywych obrazach przedstawiona jest historja jednéj z takich szkółek, założonéj przez zacną obywatelkę i kierowanéj przez starego wojaka, człowieka nauki, doświadczenia i serdecznych chęci. Niektóre z działających osób, przedstawione tam są w wieku dziecinnym, a następnie dojrzałym, z wyraźnem odbiciem się na nich skutków nauki albo nieuctwa i moralnego zaniedbania. Pełne zdań moralnych umiejętnie przeplatających powabne i króciutkie historyjki, nadają szczególny wdzięk całemu utworowi. Wszędzie prostota w wysłowieniu się, szlachetność w dążeniach, porywają dobréj woli czytelnika, a obrazując nieskończone pożytki z oświaty idące, tylko jak najkorzystniéj na umysł jego wpłynąć mogą.

Dla rzadkości téj książeczki w handlu księgarskim, świadczącéj wymownie o jéj użyteczności, pożądanem byłoby drugie wydanie, do czego szanowną autorkę jak najmocniéj zachęcamy.

Aloizy Kuczyński.

CO SIĘ DZIEJE ZE STAREMI SUKNIAMI?

Podług Angielskiéj gazety *Times,* handel starzyzną w Londynie, wielkie przybrał rozmiary. Wędrowni handlarze, w ręku których spływają ostatecznie zdarte powłoki ludzkości, urośli do godności hurtowników. Większa część ich towaru wychodzi za granicę, służyć nowym sferom społeczeństwa. Te które pozostają w kraju, muszą być przeistaczane, odnawiane i odmładzane. Wszystko to uskutecznia się z godną podziwu zręcznością i znajomością rzeczy, a w téj nowéj postaci występujące w licznych sklepach towary, łudzą i nęcą oczy potrzebujących.

Zgodnie z opowiadaniem sprzedających damską garderobę, Angielki są rzeczywiście oszczędniejsze aniżeliby się zdawało. Kupują na tandecie suknie jedwabne, nie służące, ale damy, które mają po dwa, lub trzy tysiące funtów [1]) rocznego dochodu.

Odzież z czarnego sukna, tak już znoszona, że się nie odnowi, idzie stale za granicę, do fabryki lalek najwięcéj do Francji, bez cła. Starzyzna głównie w wielkich massach wędruje do Irlandji i Hollandji. Czerwone mundury angielskiéj piechoty, ogrzewają następnie, w postaci kaftaników bez rękawów, ciała krzepkich Hollendrów. W tym wodnistym kraju, zdaje się panować przesąd, że czerwony kolor najlepiéj ochroni od reumatyzmu.

Handlarze starzyzną, ze szczególnym zapałem rzucają się na wszelkiego rodzaju mundury i liberje, jak myśliwcy na rzadkiego i jasnopiórego ptaka.

[1]) W Anglji pieniądze liczą się na funty szterlingi, jedna taka moneta, mówiąc przez skrócenie, funt, wynosi dwa dukaty. *(Przyp. Red.)*

Gdyby śmieli, na ulicach obdzieraliby żołnierzy z mundurów. Liberję sług bogatych państwa, handlarze chciwie pożerają oczami. Są to perły w ich *interesie*, które znajdują odbyt na południowych brzegach Afryki, gdzie przyroda w najpyszniejszym występuje stroju. Podróżni opowiadają o wspaniałych kostiumach wodzów w tych krainach, a nie wiedzą, że handlarze starzyzną są nadwornemi liwerantami tych czarnych dygnitarzy; a Monto-Jumbo wybredza, spostrzeże najmniejszą zmianę w barwie lub zły gatunek materji i przyrzuci kijem handlarzowi, który bardzo musi brać się w kupę, ażeby zadowolić swoich czarnych kundmanów, i w tym celu posyłają tam liberje tylko lord-majorów, samego nawet następcy tronu.

Nie jeden stróż gminy ucieszyłby się wiadomością, że jego zniszczona odzież, nie marnuje się do szczętu, lecz owszem, otrzymuje przeznaczenie ozdobienia jakiego władcy rozrządzającego życiem tysiąców ludzi.

Największa część odświeżonego szkarłatu angielskich oficerów, zajmuje corocznie miejsce na wielkim jarmarku Lipskim. Bure i szare płaszcze angielskiéj piechoty, szlą znowu do osad rolniczych przylądka Dobréj-Nadziei, cięższe i mniejsze płaszcze artylerji, do Hollandji, a ta ostatnia wraz z Irlandją, pochłaniają razem zużytą odzież policji.

Pewien rodzaj staroświeckiego ubrania, ma swoje oddzielne dzieje. Mianowicie zamożni przemysłowcy i handlarze po miastach prowincjonalnych, noszą zwykle aksamitne kamizele. Trwałość téj materji weszła w przysłowie. Otóż, kiedy się zupełnie już uprzykrzy szanownemu właścicielowi, kamizela zamienia się na jarmułki polskiego żyda [1]).

Skoro tym sposobem stare suknie przesłużą dwom albo trzem klassom społeczeństwa, to jeszcze daleko do końca ich zmiennego zawodu. I owszem, kiedy dojdą do najgorszego stanu, zaczyna się dla nich nowe istnienie. W fabrykach Jorkszyru, przyrządzają proszek, niedawno wynaleziony przez p. Ferrand, i nazwany djabelskim, od którego, za dolaniem wody, sukienne gałgany jak popiół się rozsypują, i przerabiają się stosownie na nowe sukno. Wełna z takich gałganów, dostarcza najmniéj trzecią część surowego materjału do wełnianych rękodzieł Anglji. Tu następuje ogromna przemiana. Nikt nie może wiedzieć, że materjał jego surduta nie okrywał już grzbietu jakiego brudnego żebraka. W muzeum Kensigtońskim, zwiedzający spostrzega pod oddziałem „płody zwierzęce," setki próbek takiéj wełny, otrzymywanéj ze szmat i starzyzny. Odpadki garderoby cywilizowanego człowieka w całéj Europie, spływają, w skutek naturalnego prawa handlowego, do Anglji, mianowicie do jéj stolicy po to, ażeby w postaci najprzedniejszego wyrobu odbyć tu nowy obieg po cywilizowanym świecie. Wyroby z wełny owczéj, nie zużywają się łatwo do szczętu, i przez to mogą po wiele kroć się odmładniać.

Ostatecznem jednak miejscem przeznaczenia starych sukien jest zawsze ziemia. Gdy sztuce nic już niepozostaje do czynienia, z wyszarzaną po świecie, tkanką wełnianą, wtedy pozostawia takową rolnictwu.

Po tylu przejściach, stare suknie mająż nareszcie ostatni odpoczynek znaleść w ziemi? Bynajmniéj! występują one na nowo, w naszem piwie. Wiadoma jest rzeczą, że grunt pod dobry chmiel, musi być doprawiany gałganami. W ten sposób stara suknia znowu idzie na użytek ludzkiego ciała, i dopiero wtenczas tracimy ją zupełnie z oczu, gdy kawałek materji zamiast ciało okrywać, w samo ciało się zamienia, przy wypróżnianiu przez nas szumiącego kufla piwa.

Taki to los znoszonych sukien; uszanowanie więc dla tandety i zwiedzających takową!

[1]) Autor artykułu ma tu zapewne na myśli dawniejsze czasy, gdyż dzisiaj żydzi u nas po miastach, mało co się wyróżniają w ubraniu od reszty ludności. *(Przyp. Red.)*

KOGUT POLSKI.

Pomiędzy wielu odmianami gatunków kur i kogutów, powstałych ze skrzyżowania najrozmaitszych ras sprowadzonych: z Azyi, Afryki, Ameryki i Australji, czysto polska rasa niepoślednią ma wartość, skoro wedle prawdziwego użytku oceniać ją będziemy.

Powszechnie prawie znanemi są już i u nas rasy kur jak: Kochinchińska, Włoska i Angielska, których hodowlą przed kilku laty zajęły się nietylko dwory ale i włościanie. Doświadczenie jakiego nabyliśmy w tym przeciągu czasu, pokazało, że nasze krajowe kury o wiele są niośliwsze od Kochinchińskich, byle odpowiednio były karmione; że nadto wychów, daleko mniéj wymaga zachodu, i o tyle jest korzystniejszym dla producenta kurcząt na sprzedaż do miast, że te krótszego potrzebują czasu do dojścia pewnéj dojrzałości i że nie ginie ich stosunkowo tyle w perjodzie młodocianego ich życia, ile Kochinchińskich lub Angielskich.

Jeżeli jednak będziemy mieli na względzie produkcyjność mięsa i jego smakowitość, to musimy przyznać, że pod tym względem, celują poniekąd Kochinchińskie posiadające tę zaletę, że są bardzo siedliwe, to jest: łatwo dające się nakłonić do wysiadywania jaj w każdéj porze roku.

Różnica jednak w smaku mięsa, pomiędzy kapłonami swojskiemi a zagranicznych ras wyprodukowanemi nie jest tak wielka, jak pomiędzy kurami i kogutami i potrzeba już nielada smakosza, aby był w stanie rozróżnić te dwa gatunki na półmisku.

Kogut Polski, przedstawiony na drugostronnéj rycinie, odznacza się jeszcze pomiędzy wszystkiemi rasami najwspanialszym ustrojem i jest prawdziwą ozdobą naszych kurników. Piękny biały lub kolorowy czub, wyrastający na głowie w kształcie baldachinu, który końcami swemi jakby woalką osłania zgrabny koralowy grzebyczek, może nawet z czasem posłużyć za piękny wzór modom i kształtem swoim ozdobić niejedną piękną nawet buzię, bo co moda nie może?

Bródka mała okrągła, piórko połyskujące, nóżki zgrabne niebiesko lub czarno ubarwione i ogon ozdobiony kiścią wiewających się piór, to wszystko uzupełnia jeszcze ten obraz prawdziwéj dorodności.

W końcu na zaletę koguta Polskiego, możemy i to powiedzieć, że jest znacznie zwinniejszy, silniejszy i żywszy od wszelkich innego gatunku. W walkach, które lubi staczać z Kochinchińcami, dwa razy większemi od niego, zawsze prawie wychodzi zwycięzko, a czasami nawet i w zapasach z jędorami, którym również, nie ulęknie się stawić czoło, gdy znajdzie do tego, choćby niebardzo słuszne powody.

Zygmunt Jaroszewski.

ROZMAITOŚCI.

— W wielkich miastach można napotkać często dziwaków, którzy całe swe życie poświęcają chimerycznym zajęciom i to z niezmordowaną wytrwałością. Świeżo naprzykład umarł w Paryżu, przy ulicy Cuvier, tuż obok ogrodu botanicznego, pewien szczególnego rodzaju człowiek, który całe życie poświęcił na robienie spostrzeżeń nad garbatemi i na zbieranie o nich ciekawych obrachowań. Owocem tego oryginalnego zajęcia zostało po nim w rękopiśmie obszerne dzieło, zawierające 2,000 stron bitym charakterem zapisanych, zajmujące się tylko garbami i garbatemi ludźmi. Człowiek ten zamożny, bezżenny, zdrowia mocnego, niezależny od nikogo, nieusuwał się przed żadną ofiarą ze swojéj strony, nawet przed żadnem niebezpieczeństwem, aby tylko zebrać te niezliczone szczegóły, jakie pozostawił w swem olbrzymiem dziele, a które mu dały możność do ścisłych obrachowań, wniosków i rozgatunkowania. Zajęty ciągle swoją pracą o garbatych, podróżował on długo w tym jedynie celu. Zwiedził naprzód Francję, gdzie wykazał liczbę garbatych gminami. Potem przebiegł całą Europę, Amerykę, Oceanję, Indje, Chiny, Japonję, Abissynię, Saharę i t. d.

W Europie zaś, w strefie umiarkowanéj, napotkał on najwięcéj garbatych ludzi już z samego urodzenia; w krajach zaś południowych, tylko Hiszpanja stanowi wyjątek pod tym względem, gdyż w niéj garbaci znajdują się bardzo liczni. W pewnéj miejscowości, np. u stóp gór Sorra-Morena, liczą na każdych 13 ludzi, jednego garbatego. We Francji najwięcéj się trafia garbatych w dolinie rzeki Loary.

Zauważył on także szczególną okoliczność, że garby co do swego kształtu, są w jakimciś stosunku z miejscowością, w któréj się trafiają. Tak np. u garbatych ludzi, urodzonych na stokach gór Pirenejskich, garby są śpiczaste i w górę sterczące. U mieszkańców zaś w okolicach nadmorskich, garby mają śpiczastość z góry na dół, niby kształt urwiska przez morze podtrzymanego. Garby znowu u ludzi na równinach żyjących, są przypłaszczone i mają podobieństwo do grzyba wgniecionego w ziemię.

Porównywając przecięciowo cyfry zebrane na całéj kuli ziemskiéj, nasz oryginał powiada, że w całym świecie wypada najmniéj jeden garbaty, na każde tysiąc ludzi. Przyjmując, powiada on za średnią wysokość każdego garbu 20 centimetrów (4 cale), aby dojść do pewnego stosunku zrobił 6,000 obliczeń w tym względzie, i przyjmując, że kula ziemska liczy miljard mieszkańców, to będziemy mieli miljon garbatych ludzi, których garby zebrane razem i ułożone jeden na drugim, dałyby nam kolumnę wysoką na 200,000 metrów czyli 348,000 łokci polskich. Dziwaczna ta kolumna byłaby wyższa od postawionych na sobie 10 gór Kordylierskich (najwyższych w świecie). 25 gór Montblanc, do którychby się dodało jeszcze górę Jungfrau a na tem dopiero stawiło piramidy Egipskie, a na tych, wszystkie europejskie wieże! Na końcu swego dzieła orginalny ten badacz garbów ludzkich, powiada o przesądach, jakie ludzie bez garbu mają względem ludzi garbatych. Wszędzie powiada on, ludzie ci ułomni na ciele z urodzenia, są celem często dotkliwych szyderstw ze strony ludzi ordynaryjnych i źle wychowanych. Jestże to słusznie z naszéj strony, lub godneż to jest dobrego Chrześcijanina, robić komuś przykrości z tego powodu, że się urodził z nieproporcjonalnemi częściami ciała. Cóż on temu jest winien, i dla czegóż mamy mu powiększać przykrości, jakie mu już natura sama, bez żadnéj winy z jego strony, uczyniła. Żaden też człowiek rozsądny i dobry chrześcijanin, podobnego błędu niedopuści się względem ułomnego na ciele człowieka.



Kogut Polski.—(Wycięto w drzeworytni Lipskiéj Lorcka).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.